

Janina Zólkiewicz

z d.Krzywiec

Wasilków

I/951

ARCHIWUM WSCHODNIE

Nazywam się Janina Zólkiewicz z domu Krzywiec. Mieszkam w Wasilkowie od urodzenia. Dom moich rodziców, w którym obecnie mieszkam, stoi przy ulicy Białostockiej 52. Tu mieszkałam z rodzicami już przed wojną. Byłam jedynaczką. Moi rodzice zajmowali się handlem. Mieli sklepy: ojciec miał osobny sklep, a mamusia osobny.

I tak było do wojny. Miałam narzeczonego, który pracował w policji. Nazywał się Władysław Bożym. Pochodził z Kielecczynny, z okolic Jędrzejowa. Piętnastego września odszedł na wojnę. W tym czasie w Wasilkowie i na tym terenie już żadnych władz nie było i policja oraz resztki wojska odeszły w stronę Supraśla. Odchodząc mówił, że odchodzą do jakiegoś większego zgrupowania. Według jego opinii wojna będzie trwała krótko. Wróci najpóźniej za miesiąc. Pożegnałam go, gdy odchodził z wojskiem.

Po jakimś czasie do Wasilkowa wkroczyli Niemcy. Byli tu chyba ze dwa tygodnie. Po dwóch tygodniach Niemcy odeszli, a na ich miejsce przyszli Sowieci.

Za okupacji sowieckiej pracowałam w fabryce jako bufetowa, w stołówce robotniczej. Natomiast moja mamusia pracowała tam jako kucharka. Pracowałyśmy tam przez cały czas, aż do wybuchu wojny niemiecko - sowieckiej, do powtórnego przyścia Niemców.

Za okupacji niemieckiej moja mamusia pracowała jako kucharka w żandarmerii. Natomiast ja początkowo nie pracowałam, a następnie podjęłam pracę w sklepie, w którym sprzedawa-

wałam papierosy Niemcom i Polakom. Polacy mogli kupować tylko papierosy białe i to w ograniczonej ilości. Natomiast Niemcy otrzymywali papierosy Deka. Oprócz mnie w tym samym sklepie pracowały jeszcze dwie Niemki, z którymi przyjmowałam kontyngenty przywożone ze wsi okolicznych przez sołtysów. Sołtysi przywozili miód, masło, jajka. Co jakiś czas po te rzeczy zgłaszała się jakaś firma z Łomży i gdzieś je w stronę Łomży odwoziła.

Tam przez jakiś czas pracowałam. Ale w okolicy krążyły jakieś oddziały partyzanckie. Z tego powodu ludzie i sołtysi z okolicznych wsi bardzo często nie mogli wykonać nakazów kontyngentowych. Często przynosili do mnie karteczki na których było napisane, że tyle to a tyle rzeczy nie mogą dostarczyć i z tym trzeba było coś zrobić.

Spadało to na mnie. Często musiałam na przykład pobić jakąś ilość jajek aby w ten sposób "udowodnić", że pobierałam więcej niż było w rzeczywistości. W ten sposób ukrywałam niedobory magazynowe powstałe w sposób, o którym mówiłam wcześniej. Robiłam to dlatego, żeby pracujące ze mną Niemki nie mogły dojść, ile tego rzeczywiście było i ile się pobilo.

Jakoś mi się to udawało zwłaszcza dlatego, że one nie bardzo się zajmowały tym magazynem. W pobliżu były zakłady, w których byli żołnierze niemieccy. One zaś były flirciary i bardziej zajmowały się chłopcami niż magazynem. Sama więc byłam praktycznie w magazynie i mogłam przeprowadzać operacje niszczenia otrzymanych rzeczy i ukrywania niedoborów.

Po jakimś czasie pracowałam u Amstkomisarza, w jego biurze. Tam pracowały też moje znajome. W tamtej pracy też się

kombinowało. Ponieważ tu mieliśmy dostęp do dokumentów, to też kombinowałyśmy na przykład przepustki dla swoich. Na nasze tereny wracali często ludzie z Wilenszczyzny, którzy uchodzili stamtąd jako "spaleni". Musieli uciekać dalej. My im dostarczaliśmy fałszywe dokumenty. Trafiali też do nas ludzie z Generalnej Guberni.

Pewnego razu z rana, kiedy jeszcze leżałam na tapczanie, usłyszałam stukanie do furtki. Wyjrzałam przez okno i zobaczyłam, że przy furtce stoi gestapo. Ja w owej chwili byłam sama w domu. Wyjrzałam przez okno i powiedziałam im, że jestem sama w domu i nie mam w tej chwili klucza. Ale zaraz wstanę, ubiorę się, poszukam klucza i im otworzę. Oni w to uwierzyli i czekali.

A ja w tym czasie, w szlafroku - uciekłam z domu. Wydostałam się z domu na drugą stronę, przebiegłam przez podwórko, przeskoczyłam przez wysoki płot i uciekałam w stronę stacji kolejowej. Tam miałam znajomych. Tym zawiadowcą stacji był pan Kwietko. Był to dobry nasz znajomy. Ja przyjazniłam się z jego żoną. Oni mnie natychmiast ukryli w piwnicy i tam siedziałam.

Rodzice początkowo nie wiedzieli, co się stało, a gdy się dowiedzieli, zaczęli się zastanawiać, co ci Niemcy mogli ode mnie chcieć? Doszli do wniosku, że to chyba musi chodzić o jakieś dokumenty. Ale ponieważ moja mamusia pracowała w żandarmerii - zaczęła rozmawiać z tym komendantem żandarmerii i niby to nieświadoma istoty rzeczy powiedziała: czy za to, że moja córka w sklepie wzięła te parę jajek to aż gestapo musi po nią przychodzić? w ten sposób mamusia świadomie zbagatelizowała sprawę, że ja przecież nie mogłam mieć

nie wspólnego z dokumentami. Mama uważała / tak udawała/, że przyczyna najścia gestapo nie jakiś związek z moją pracą w sklepie, a nie dotyczy mojej pracy w biurze, nie ma związku z dokumentami.

Komisarzem w Wasilkowie był Prusak. Mówił dość dobrze po polsku. On powiedział do mamusi: niech ona przyjdzie. Jeśli sprawa dotyczy tylko jajek to ja jej nie będę szukał. Niech wraca. Dostanie gorszą pracę, dobrej pracy już nie dostanie. Nie będzie mogła pracować dalej w sklepie. Będzie musiała iść sprzątać.

Ja trochę bałam się nadal, ale wyszłam. I rzeczywiście. W sąsiedztwie, w jednym z dużych domów kwaterowali wojskowi. I tam mnie skierowano do sprząkania mieszkań. Tam mnie Niemcy często sprawdzali. Podkładali mi na przykład pieniądze, biżuterię i czekali, czy ja przypadkiem czegoś nie ukradnę. Ale nic takiego się nie stało. Płacono mi bochenek chleba dziennie za tę pracę. Po jakimś czasie wzięłam sobie koleżankę do pomocy. Obie tam sprzątałyśmy. I tak dotrwałam do wojny, to znaczy do czasu, kiedy Niemcy cofając się spod Moskwy doszli do naszych terenów.

Do pracy już nie poszłam, bo się bałam Niemców. Zresztą na ten dom, w którym pracowałam, spadła bomba i budynek zaczął się palić. To było wieczorem. Wybiegłam na podwórko i zaczęłam radośnie wołać, że dzięki Bogu, że ten cały sztab wreszcie się spali, że nie będę musiała już iść do pracy. Z tego wszystkiego nie zauważyłam, że obok stoi Niemiec z tego właśnie sztabu. On nie wiele myśląc - chwycił za pistolet i ruszył za mną w pościg. Zaczęłam uciekać przez podwórko. W płocie były furtka, która zamykała się na zaszczep-

kę. Ja zatrzymałam się w luce między płotem a furtką. Goniący mnie Niemiec wpadł na podwórko i zaczął mnie szukać. A ja w tym czasie wybiegłam, uciekłam i na tym koniec. Teraz w pracy oczywiście nie mogłam się już pokazać. Zresztą w niedługo po tem Niemcy zupełnie uciekli z Wasilkowa. Zaczęły się działania wojenne.

W Wasilkowie było niebezpiecznie. Wówczas jeden z moich kolegów powiedział do mnie:

- Wiesz, choź pójdziemy do moich rodziców. Oni mieszka-
ją gdzieś tam w Chrabołach. Tam będzie spokoj, przeczekamy
to i potem wrócimy.

Przez jakiś czas wahałam się. Ale mama doradziła mi: mo-
że idź z nim. Może tam będzie spokojnie. Ruszyliśmy więc o-
boje z Wasilkowa, przez Puszcę Knyszyńską, pieszo. Dochodzi-
my do leśniczówki - nazwy jej już teraz nie pamiętam - mi-
nęliśmy ją i odeszliśmy może jakieś pół kilometra, gdy zu-
pełnie nieoczekiwanie zatrzymał nas okrzyk:

- Stoj, ruki w wierch.

Byliśmy tym oboje kompletnie zaskoczeni. Miałam przy so-
bie podręczną apteczkę. Po chwili zorientowaliśmy się, że
są to żołnierze z desantu sowieckiego. A tu dookoła wszę-
dzie byli Niemcy.

Żołnierze radzieccy zaczęli nas obnacywać, sprawdzać za-
wartość apteczki. Miałam tam perfumy, które były we flako-
nie w kształcie serca. Ten flakon bardzo się im podobał i
mi go zabrali.

Następnie zapytali nas - dokąd idziemy. Odpowiedzieliś-
my, że do rodziny. Oni zaczęli zastanawiać się nad naszą od-
powiedzią, kiedy na drodze od strony leśniczówki ukazał się

starszy pan. Ten pan mnie znał. Nie pamiętam już dziś, jak się nazywał. Ten pan potwierdził wobec rosyjskich żołnierzy, że mnie zna i dodał, że my jesteśmy swoi. Dodał, że mnie zna z Wasilkowa i że oni powinni nas puścić.

I Rosjanie nas puścili. Kazali nam iść dalej przed siebie i nie oglądać się. To mnie przeraziło: Jezu kochany, pewnie strzelą mi z tyłu w plecy i tyle. Ale nic takiego nie stało się.

Czas był niespokojny. Słychać było gdzieś strzelanie, górą latały samoloty. A myśmy szli już nie drogą lecz lasem, skacząc od drzewa do drzewa; on po jednej stronie drogi, a ja po drugiej. I tak doszliśmy aż do celu naszej podróży - do Ryboł.

Kiedy wyszliśmy z lasu i zmierzaliśmy w stronę wsi - wszystko wydawało się być w porządku. To była akurat niedziela. Trafiliśmy akurat na śniadanie. Kiedy jeszcze szliśmy zauważyłam żołnierzy niemieckich, którzy zwijali telefony. Powiedziałem o tym koledze, ale on nie uwierzył. Mówił, że mi się tak tylko wydaje.

Kiedy już usiedliśmy do śniadania, usłyszeliśmy pukanie do drzwi a następnie słowa:

- Zdrastwujtie, my priszli was oswobodit.

Myśmy wszyscy zdępieki. Bo to wszystko trwało - od czasu kiedy widzieliśmy Niemców zwijających telefony - dosłownie godzinę.

Żołnierze byli wyraźnie głodni, oberwani. Z nimi była też i dziewczyna. Ona również miała porwaną bluzę i spódnicę, bo jak się okazało, ona była specjalistką od rozbijania min i miała ze sobą odpowiedni przyrząd. W tym czasie inni

żołnierze byli w ogrodzie i wrywali marchew i kartofle. Nie mieliśmy już wątpliwości, że do nas przyszli Sowieci. W pewnej chwili oni zaczęli nam dawać gazety i zapytali, czy umiem czytać po rasyjsku. Odpowiedziałam, że nie, ale że mój kolega potrafi trochę czytać po rosyjsku.

Z tej gazety dowiedzieliśmy się, że gorod Białystok, gorod wygoda, gorod wysoki Stoczek - wszystkie dzielnice Białegostoku były wymienione jako miasta - oraz Wasilków już są oswobodzone.

Pomyślałam sobie, że skoro są oswobodzone, to ja chcę wracać do domu. Byłam bardzo niespokojna, co się w domu dzieje z rodzicami. Ale mama mojego kolegi zaczęła nam odradzać powrót przestrzegając, że jest jeszcze niebezpiecznie, że trzeba jeszcze poczekać, że to się wszystko napewno jakoś uspokoi.

Pobyliśmy tam jeszcze kilka dni i postanowiliśmy wracać. Po drodze spotykaliśmy Rosjan, a gdzieś tam było widać Niemców - z daleka. Broń ukrywali, najczęściej nieśli ją zawiniętą w płaszcze i wyraźnie unikali spotkania z ludźmi i gdzieś bokami uciekali.

Doszliśmy do Wasilkowa. Gdy dotarłam do domu mama powiedziała mi, że u nas w domu byli Sowieci i pytali o mnie. Byłam bardzo zaskoczona, czego oni mogli chcieć ode mnie. Kiedy mnie nie zastali w domu - kazali mi zgłosić się na komendanturę. Wówczas komendantura mieściła się o jeden budynek przed obecną siedzibą poczty.

Oczywiście od razu tam nie poszłam - dopiero po jakimś tygodniu. Kiedy tam się zgłosiłam, to przyjął mnie jakiś rosyjski oficer. Powiedział, że on teraz nie ma do mnie nic.

Następnie dodał, że mogę spokojnie wracać do domu i że ze mną będą rozprawić się władze polskie.

Zapytałam co chodzi. Wówczas otrzymałam od niego odpowiedź:

- No - to uznajesz.

I tyle. Wówczas władz polskich w Wasilkowie jeszcze nie było. Na ulicach dopiero zaczęli się pojawiać pierwsi cywile z opaskami na rękawach. Były to początki milicji, która dopiero się organizowała.

Tak minął sierpień, a następnie wrzesień. W październiku zaczęły się pierwsze aresztowania. Kiedy się o tym dowiedziałam, zaczęłam uciekać z domu. Rozumowałam w ten sposób, że skoro o mnie pytano, to znaczy że mogę spodziewać się najgorszego. Ale przez cały czas nikt o mnie nie pytał ani też nikt nie przychodził do mnie do domu.

Aż kiedyś zastukano do domu. Wówczas ja, moja mamusia i moja kuzynka - uciekłyśmy. W domu został tylko tatuś. Do domu weszli żołnierze, przeprowadzili rewizję, ale nic nie znaleźli. Ale ponieważ znaleźli trochę wędliny - bo myśmy zawsze hodowali sobie prosiaka i zawsze trochę mięsa mieliśmy w domu - to przy okazji rewizji trochę tej wędliny nam ukradli. I poszli.

Przez jakiś czas był spokój. I znowu powtórzyło się najście i my znowu uciekłyśmy. Za trzecim razem byłam w domu. Do domu przyszedł pewien pan, który podobno pracował w kolejowej milicji / Służba ochrony Kolei/. Przez jakiś czas siedział w domu, rozmawiał ze mną, jakby mnie zatrzymywał. Wyraźnie przedłużał rozmowę. Minęła już godzina ósma, a to już była jesień, a tym samym pora już późna. Sytuacja stała się i niezręczna i niebezpieczna, bo ja nijak nie mogłam

wyjsć. Wreszcie powiedział, że już pójdzie. Nie zdążył jeszcze dobrze wyjść - a tu już rozległo się stukanie. Stukano jednocześnie do drzwi i do bramy.

Otworzyliśmy i natychmiast zarządzano od nas dokumentów. Wszyscy okazaliśmy swoje dokumenty. Wówczas powiedziano do mnie, żebym się ubierała, bo oni zabierają mnie na przesłuchanie. Pomyślałam sobie, że skoro zabierają mnie tylko na przesłuchanie, to ja przecież nie muszę się ubierać. Pamiętam, że to było piętnastego listopada 1944-go roku. Nałożyłam na siebie taki lekki płaszcz. Na nogi nałożyłam - wówczas były problemy z obuwem - takie kaloszowe botki z drewnianymi obcasami wkładanymi do środka. Do tego nakładało się skarpetki i tak się chodziło.

Nałożyłam więc te botki, spódnica, bluzka, płaszcz, rękawiczki i kawałek szalika i tak wyszłam. Kiedy mnie wprowadzono do urzędu, siedział tam jakiś oficer, naturalnie Rosjanin. On sprawdził moje personalia, a następnie kazał mi wyjść. Wyprowadzono mnie do drugiego pokoju.

Po jakimś czasie - może po dwudziestu minutach kazano mi wychodzić. Wówczas z Wasilkowa byłam tylko ja, jedna. Wkrótce podjechał duży samochód nakryty plandeką - to było wieczorem, bo gdy wychodziłam, to mama w ostatniej chwili, mocno przestraszona - usiłowała mi dać jakiś kawałek pełtisy. Kiedy wsiadałam na samochód, mama chciała się ze mną pożegnać i w ostatniej chwili wcisnęła mi jakieś pieniądze. Mamusię energicznie odsunięto ode mnie i ja musiałam wejść do tego samochodu. Za mną wsiedli też na samochód towarzyszący mi dotychczas żołnierze.

Wreszcie samochód ruszył. Samochód jechał bardzo długo.

Zaczęłam się zastanawiać - dokąd oni mnie wiozą. Bo jeśli do Białegostoku, to samochód już dawno by dojechał. Ale oni chyba dlatego tak długo kręcili, żebym się nie zorientowałam, gdzie jestem.

W pewnym momencie stwierdziłam, że wjeżdżamy na jakieś podwórko. Usłyszałam szczekanie psów. Bałam się ogromnie. Kazano mi wychodzić z samochodu. Żołnierze najpierw wysiedli, utworzyli szpaler, którym ja przeszłam. Wprowadzono mnie do jakiegoś domu, do korytarza. Z tego korytarza prowadziły drzwi na wprost do jakiegoś pokoju, do którego mnie wprowadzono. Pokój był oświetlony i znajdowały się w nim prycze. Dalej stało jeszcze jakieś biurko, a dalej był następny pokój. W rogu pokoju stała skrzynia z amunicją.

Po jakimś czasie pojawił się sowiecki oficer, sprawdził moje personalia, a następnie zapytał, czy pracowałam w AK. Odpowiedziałam, że nie. On wówczas powiedział, że jak to nie, że na pewno tak i żebym się przyznała.

Następnie zaczął pokazywać mi różne zdjęcia. A ja stale odpowiadałam, że nikogo nie znam i nic nie wiem. I tak to trwało chyba z godzinę.

W pewnym momencie przesłuchujący mnie oficer wyjął z biurka pistolet i położył koło siebie, a następnie wy zapalił papierosa. Po chwili wyszedł, zostawiając ten pistolet na biurku. Nie wiem, na co on liczył. Chyba na to, że mnie w ten sposób sprowokuje.

W każdym razie musiał być moją postawą rozczarowany, bo gdy wrócił - był wściekły. Podeszedł do mnie i bez słowa trzasnął mnie w twarz. Udarzenie było tak mocne, że ja upadłam plecami /grzbietem/ na róg tej skrzyni, która stała

w rogu pokoju. Odczułam niesamowity ból. Dosłownie zwijałam się. Naturalnie zwymyślał mnie różnymi epitetami i kazał mnie wyprowadzić.

Wyprowadzono mnie na dół - do piwnicy. W piwnicy leżała jakaś garstka słomy, jakieś szmaty po kimś, a okienko było typowo piwniczne: małe i wąziutkie. Stałam w tym pomieszczeniu niezdecydowana - co mam robić. Nagle usłyszałam, że coś się porusza. To były szczury. Dokoła panowała ciemność. W drzwiach było małe okienko, przez które osoba stojąca na zewnątrz mogła mnie obserwować. Natomiast ja nie mogłam nic widzieć, bo tam było ciemno. Zresztą u mnie też było ciemno.

Po jakimś czasie usłyszałam, że ktoś gdzieś chodzi, usłyszałam jakieś wrzaski kogoś bitego. Jak się później okazało, w tym domu było dużo takich piwnic. W tych piwnicach siedzieli ludzie, których tu przywieziono wcześniej. A w międzyczasie dalszych ludzi nadal dowożono.

Kiedy się zrobiło widno, stałam przy oknie, opędzając się od szczurów. Nie mogłam początkowo nic zobaczyć przez okno. Zwinęłam jednak leżące na ziemi szmaty, stałam na nich, wspięłam się na podłogę i spojrzałam. Zaczęłam się zastanawiać - skąd ja znam to miejsce? Widziałam troszeczkę podwyższony podjazd, brama, mur z jednej strony i mur z drugiej strony. Co to jest? Przecież ja to znam. I wreszcie sobie przypomniałam, że jestem na Ogrodowej w Białymstoku. /ten budynek istnieje do dziś pod nr-em 2/.

Stałam cały czas w tym okienku, a przez cały czas po chodniku chodził wartownik. Patrząc na chodnik - poznawałam znajomych ludzi po butach.

Na Ogrodowej trzymano mnie chyba z tydzień. Po tym czasie przystąpiono do wywożenia nas. Było to wieczorem. Pod same schody podjechał samochód. Ze schodków do samochodu wchodziło się bezpośrednio po desce. Przy załadunku byli sowieccy żołdaci z psami. Do samochodu wyprowadzono nas więcej. Było nas czworo: ja i trzech panów. Wiem, że jeden z tych panów miał nazwisko Puchalski i pochodził z Knyszyna. Nie mogliśmy się porozumiewać. Było ciemno, gdy jechaliśmy. Jeden z panów scisnął mnie za rękę wyraźnie po to, aby mi dodać otuchy.

Samochód jechał podobnie tak, jak poprzednio: kołował po ulicach. Wreszcie wiozą nas przez jedną bramę, następnie drugą i wreszcie trzecią. Za trzecią bramą kazano nam wysiąść. Wyszliśmy, wokół żołnierze z psami. Okazało się, że jesteśmy w więzieniu.

Za trzecią bramą siedzieli sami więźniowie polityczni. O tym dowiedziałam się znacznie później. Następnie wprowadzono nas do ogromnej sali. Owa sala nie była może tak duża jak to, że tam było wielu ludzi - chyba ponad sto osób. Tam nie było mowy, żeby tam usiąść. Tam można było tylko stać. W tej sali były same kobiety.

Już następnego dnia wezwano mnie na śledztwo. Byli tam żołnierze skośnoocy, których ja się szalennie bałam. I nie wiem - czy to było jeszcze z czasów przedwojennych czy z okresu wojennego - w ścianach były haki do przykuwania więźniów. Haki te były do przykuwania zarówno za ręce jak i za nogi. Zrobiło to na mnie ogromne wrażenie. Wyraźnie się tego przestraszyłam.

Kiedy siedziałam jeszcze na Ogrodowej - nie wiedziałam, co mamusia mi dała. Okazało się, że mamusia dała mi pięćset

złoty. Wśród strażników był taki żołnierz, który gdy czasem wartował i mnie wpuszczał lub gdy dawał jedzenie to pytał, czy może mi czegoś trzeba. Ponieważ ja już wówczas paliłam - dałam mu pieniądze i poprosiłam, aby mi kupił zapalki i papierosy.

I on mi kupił. Przyniósł mi i dał mi resztę. A to było dużo pieniędzy. Ja się wówczas domyśliłam, że to było dużo pieniędzy, bo on mi kupił kilka paczek papierosów i zapalki. Ale ten żołnierz uprzedził mnie, że jak mnie będą prowadzić na górę, to żebym nie brała zapalek, bo oni mi zabiorą. Więc ja nie brałam, ale jak do więzienia jechałam to zabrałam. Bo miałam już tylko jedno pudełko, bo w międzyczasie wypaliłam, te szczury odganiałam, kiedy byłam na Ogrodowej.

Na górze w więzieniu też zaczęło się śledztwo. Podczas tego śledztwa zaczęli robić mi rewizję. Dokonywali tego mężczyźni. Obmacywał mnie taki młody żołnierz. Oczywiście znalazł mi zapalki i przycisnął je dyskretnie do brzucha na znak, że mi ich nie zabierze. Zostawił mi te zapalki, a papierosy pozwolono mi później zabrać.

Na śledztwie przez cały czas pytali o to samo. Ponieważ ja już z opowiadań wiedziałam, jak postępują na śledztwie, wiedziałam dlatego, jak się należy zachowywać. Podstawowa zasada zabraniała bronić Boże powiedzieć choćby jednego słowa - wówczas już nie dadzą spokoju. Na ich przesłuchaniach przez cały czas należy mówić: nie znaju, nie znaju, nie znaju. To jest jedyne słowo. Bo inaczej to człowiek sam się wplącze. A oni oczywiście w tym dopomogą.

I ja stosowałam się do tej zasady. Ciągłe mówiłam: nie

wiem, nie wiem i nie wiem.

W tym więzieniu siedziałam tydzień, a może i dwa. W pewnym momencie kazano nam wyjść do łaźni. Nie mieliśmy nic: ani mydła ani ręczników, ani zmiany bielizny. Nic. Byłam tak - jak stałam. Zrobiono to specjalnie. Wprowadzono nas do łaźni. A tam stały ogromne kadzie, do których wchodziło jednocześnie po pięć do sześciu osób. To było w białostockim więzieniu. Do tych kadzi nalewano wodę i do tej wody trzeba było wskakiwać. Oczywiście wchodziło się nago, aby się tam trochę pochłapać.

Nie było nawet czym się wytrzeć. Trzeba było spowrotem nałożyć to ubranie. Ledwie zdążyliśmy wyjść z kadzi i nałożyć swoje ubranie, zaprowadzono nas do tej celi, w której było tak wiele osób. Z nas aż para buchała, bo wszystko było mokre.

Gdzieś po godzinie usłyszeliśmy jakiś hałas na korytarzu. Ustawiono stoły, przygotowano wszystkie spisy nas, więźniów i zaczęto nas wywoływać. Każdy z wywołanych miał wyjść z wieszczami /rzeczami/. Przyszła wreszcie i kolej na mnie. Wyszłam, a przy moim nazwisku postawiono haczyk. Wówczas powiedziano do mnie:

- Wyhadi ga podwórko.

A na podwórku ze schodów prowadziła deska do samochodu. I znowu usłyszałam:

- Polezaj.

Otoczenie było takie, jak zwykle: wojsko i psy. W taki sposób zapełniono duży samochód. Następnie załadowano dalszych kilka samochodów i auta ruszyły. Przywieziono nas na dworzec kolejowy. Chodzi o dworzec Białystok Centralny, a nie Białys-

Fabryczny. Zawieziono nas gdzieś dalej, tam stały nasze wagony. Były to wagony bydlęce, zimne, bez ogrzewania. A to już był grudzień. Do załatwiania się była w podłodze wycięta dziura. Nie było żadnych ławek ani nic do siedzenia. Nie było żadnych urządzeń.

W wagonie było ponad sto osób. Panował niesamowity tłok. O przepełnieniu wagonu świadczy fakt, że w jednym wagonie jechały matka i córka - podróż trwała dwa tygodnie - a one nic o sobie nie wiedziały, że jadą razem, bo jedna z nich była w jednym końcu wagonu, a druga w drugim. Aresztowano je oddzielnie i dowiedziały się o sobie dopiero podczas rozdziału chleba - gdzieś po dwóch tygodniach jazdy i obie przeżyły szok. Było tak ciasno, że nie można było przepchać się z jednego końca wagonu na drugi.

Odczuwaliśmy niesamowite pragnienie, a pic nam nie dawano. Do jedzenia otrzymywaliśmy wojskowe suchary oraz po około trzech - czterech deko słoniny paprykowanej. I nie dawano nic do picia. Uważaliśmy, że robiono to celowo, bo suchary i słonina wzmagają pragnienie.

Famiętam, że nasz pociąg zatrzymał się w Smoleńsku. Zaczęliśmy wołać i walić w ściany dopominając się wody. Wówczas do wagonu weszli dwaj żołnierze, każdy z nich miał po dwa wiadra wody i chlęsnęli - po jedną stronę wagonu dwa wiadra i na drugą. I tak w locie łapałyśmy wodę. I to było całe picie. A to przecież już były zima, na gwoździach był widoczny szron. Myśmy zlizywały szron z desek i okuć wagonu, aby ugasić pragnienie. Ja z tego powodu miałem zerwaną skórę z języka.

Podczas podróży w takich warunkach ludzie zaczęli cho-

rować w wagonie, pojawiła się wysoka temperatura. Jedną z moich znajomych umarła - wcześniej chorowała na cukrzycę. Ta pani nazywała się Krajewska. Nie pamiętam jej imienia. Jej mąż był administratorem jakiegoś majątku gdzieś w okolicach Warszawy. Ta pani jechała ze swoją córką - Marią. Jej zwłoki wyciągnęliśmy na dworcu w Ostaszku. Dojechała więc z nami do końca. Zmarła na parę dni przed zakończeniem podróży.

Wreszcie przyjechaliśmy do Ostaszku. Tam nas wyładowano. Tylko w tej chwili nie mogę sobie przypomnieć, czy to było przed Bożym Narodzeniem czy też już po świętach. Przy wysiadaniu dostrzegłam kilka twarzy z Wasilkowa i tego powodu zrobiło mi się troszkę źle. Już wiedziałam, że nie jestem sama, jak to dotychczas myślałam. Sądziłam, że w całym transporcie nie znam nikogo.

Wpędzono nas do obozu i tu zaczęto nas rozdzielać. Obowozowiczów, którzy tu już byli przed nami i wyszli nas oglądać - zabrano. Nas skierowano do łaźni. Łaźnia wyglądała w ten sposób, że była to obszerna sala, w której posadzka była betonowa. Na podłodze stały ceberki z wodą do mycia się. Na początku każdego stołu stał ceberek zawierający płyn dezynfekcyjny.

Nie było to mycie, jakie powinno być. Dostawałyśmy - przez cały czas pobytu w obozie tak było - małe kawałeczki mydła. Wody też nie było za wiele. Ale przynajmniej można było nieco się ochlapać z tego brudu, bo każdy z nas był brudny niesamowicie. Następnie zaczęto nas rozdzielać.

Ja trafiłam do takiego domku, w którym była jedna mała salka o wymiarach chyba cztery metry na cztery. Była więc kwat-

dratowa i miała drewnianą podłogę. Do tej salki skierowano nas dwadzieścia sześć osób. Spałyśmy na gołej podłodze, pod scianami. Wydaje mi się, że ta sala miała chyba nawet mniejsze wymiary, bo myśmy nawet na komendę się obracały, bo inaczej nie było można.

Miałyśmy ze strony Rosjan opiekuna, który nosił przezwisko "Cap - carap". Nie wiem, jakie było jego prawdziwe nazwisko. Był niewielkiego wzrostu, dość krępy. Był paskudny pod względem charakteru: złośliwy i próbował "dostawiać" się do młodych dziewcząt. Był uciążliwy. Potrafił przychodzić w nocy i wywoływać dziewczyny. Oczywiście żadna nie chciała wyjść. Z nami mieszkały i starsze panie, ale on nagabywał młode dziewczęta.

Każdego wieczora trzeba było myć podłogę i na mokrej się kłaść. Tu chcę dodać, że tuż po przywiezieniu do ~~na~~ obozu zabrano nasze rzeczy do dyzjenfekcji. Tak więc gdy zabrano moją pelisę, to z niej został tylko materiał. Miałam też lekki płaszczyk, lamowany karakułami, które też obleciały. Z pelisy obleciały lisy i został mi tylko materiał. Na czas spania ten materiał kładłam pod spód - dzieląc się tym z koleżanką, a tym płaszczykiem nakrywałam się. Koleżanka nakrywała się swoim płaszczem. I tak spałam przez dziewięć miesięcy - na gołej podłodze.

Następnie przeniesiono nas do baraku, w którym były trzy-piętrowe prycze. Spałam na najwyższej pryczy. Ich szerokość wynosiła około czterdziestu centymetrów. Takiej szerokości była jedna deska, a zaraz obok była druga i też szeroka na czterdzieści centymetrów. Na jednej desce spałam a ja, a po drugiej stronie spała moja koleżanka.

Do spania dano nam sienniki, które były napełnione trocinami. Po jakimś czasie owe trociny scierały się i faktycznie człowiek spał na materiale. A przy tym wszy były niesamowite, pluskiew była masa. Wszystkie miałyśmy wszy. Doszło do tego, że człowiek wcale się nie dziwił, gdy podczas rozmowy z kimś widział chodzące wszy. Były to już wszy i w głowach i odzieżowe. Wszyscyśmy się drapali, a żadnych środków dezynfekcyjnych nie było. Od czasu bielono nam ściany w barakach. Jedynym tego efektem było to, że nam pobielono pluskwy na biało. Oglądać więc było można pluskwy o białych grzbietach i czerwonych brzuchach.

W lecie urządzaliśmy się w ten sposób, że te worki, które miały nam służyć jako sienniki - były białe - wynosiłyśmy na zewnątrz baraku, wchodziłyśmy do środka i jedna drugą zawiązywała. Tak spałyśmy na trawie przed barakiem, bo to było lato. Umowa była taka, że zawsze jedna z nas zostawała nie zawiązana po to, aby w razie potrzeby mogła pozostałe odwiązywać, na przykład kiedy nagle zaczynał padać deszcz. Ale zdarzały się osoby niesolidne - uciekła pierwsza a nas zostawiła - to te zawiązane worki długo błądziły: każda z nas starała się trafić na wycucie i nigdy się to nam nie udawało. Wówczas wpadłyśmy na pomysł - aby niezawiązane końce trzymać w ręku, nie zawiązywać, żeby samemu w razie potrzeby uwolnić się. I tak spałyśmy.

Śledztwo tam, w obozie - zaczęło się bardzo późno. Sądzę, że to stało się dopiero gdzieś po ośmiu miesiącach naszego pobytu zjechało NKWD. Przyjechała ich cała masa i zaczęło się śledztwo.

Zaczęto wzywać na przesłuchania w dzień, a szczególnie w

nocy. Ledwie człowiek się położył - już za chwilę trzeba było wstawać. Dochodzenie ze mną prowadził NKWD-ysta - nie znam jego nazwiska - w wieku około pięćdziesięciu lat. Nie powiem, że był ordynarny czy żeby mnie bił - nie. On ze mną rozmawiał, pytał, przekonywał - że powinnam powiedzieć prawdę. Kłamanie nie ma sensu, bo przecież oni mają dokumenty. Powinnam się przyznać, że ja pracowałam w AK i że byłam przeciwko sowieckiej władzy. Dodawał, że jestem wrogiem narodu, wrogiem komunizmu i że powinnam się do tego przyznać. Otrzymam karę, odbędę ją i będzie po wszystkim, sprawa będzie zakończona.

Ja natomiast stale odpowiadałam, że nigdzie nie należałam i nic w tej sprawie nie wiem. To dochodzenie trwało bardzo długo - ciągnęło się chyba z pół roku.

Tu należy odpowiedzieć sobie - dlaczego tak późno rozpoczęto to śledztwo? Otóż w tym czasie władze obozowe uruchomiły między nami sieć szpicli. I gdy w czasie śledztwa ktoś twierdził, że nic nie wie, że nigdzie nie należał - to oni konfrontowali tych ludzi. I byli tacy, którzy podczas tej konfrontacji stwierdzali co innego i konfrontowani musieli przyznać się do tego. I na tej podstawie ci ludzie byli karani. Zabierano ich do więzienia, gdzie dostawali wyroki o odbywali kary.

Dlatego najważniejsze podczas pobytu w obozie było to, aby nikomu z niczego się nie zwierzać. Bywało bowiem i tak, że niejednokrotnie ludzie nie wiedzieli, za co siedzą. Na przykład ja - nie wiedziałam, za co mnie posadzono i przywieziono do obozu. Przecież nic mi nie udowodniono, a i ja do niczego się nie przyznałam i rzeczywiście nie wiedziałam, za co.

A były też wypadki, że ludzi zabierano wprost z ulicy. Kiedy prakowało im ludzi do limitu - łapali na ulicy. Naśladowali w tym względzie Niemców: urządzali łapanki, aby dobrać ludzi do równego rachunku.

Wielu ludzi zarobiło wyroki dzięki temu, że między nas powsadzano wtyczki.

Dopiero po tym śledztwie mogliśmy zacząć pracować. Pracowałam w kolchozie - zabierano nas tam całe grupy. Pracowałyśmy przy pieleniu, kłpaniu kartofli czy ścinaniu kapusty. W zimie natomiast pracowałyśmy - to trzeba było daleko chodzić - przy torfie. Torf był wybierany częściowo przez Niemców. Idąc do pracy można było zobaczyć, jak Niemcy go wydobywają. Oni wybierali go i układali w sztable /stosy/. Natomiast my zbierałyśmy torf ze sztabli do koszy. Następnie owe kosze załadowane torfem nosiło się na plecach do kolejki, składającej się z wagonów. Następnie te załadowane wagony trzeba było pchać do pewnego miejsca. Następnie te wagony przejmowali mężczyźni i pchali je dalej. Te wagony szły następnie do Ostaszkowa. Tam wykorzystywano torf w jakimś zakładzie - chyba w garbarni.

Była to praca bardzo uciążliwa. Było niesamowicie zimno, a w dodatku człowiek przez cały czas był pod eskortą. Gdy któraś z nas meldowała, że chce się załatwić - to taki Sowiet stał obok i patrzył, jak się to robi. To było dla nas bardzo krępujące, ale niestety - tak musiało być.

Przez całą zimę pracowałam tam. Po tym był taki okres, w którym trzeba było kopać. Wyznaczano nam odpowiedni odcinek. Każdy z nas otrzymywał odcinek: dwa metry szerokości i sto metrów długości. I to trzeba było skopać. Ziemia była bardzo

gliniasta i zawierała wiele kamieni. A normę trzeba było wyrobić - bo to był warunek otrzymania większej pajki. Normalna pajka ważyła czterysta gramów, a zwiększona wynosiła sześćset albo i osiemset gramów. Tak więc dla tego kawałka chleba człowiek musiał pracować.

Następnie władze obozowe wpadły na pomysł, żeby nami orać. Ponieważ kopanie szło nam za ciężko, to zaprzęgano nas do pługów. W zaprzęgu było nas cztery. Nakładano na nas specjalne pasy. Natomiast jedna lub dwie inne z nas szły z tyłu i prowadziły pług. Ale to trwało bardzo krótko. Widocznie taki był brygadier, który wpadł na taki pomysł. Nacieraliśmy sobie odciski od tych zaprzęgów. Ale i tak też musiałyśmy pracować.

Przez jakiś czas pracowałam też w pralni. Przez jakiś czas przychodził do nas kapitan - nazywał się Kowalów czy może Koralów. Zachodził do nas na salę. Pytałyśmy go wówczas - kiedy pojedziemy do Polski. Mówił nam, że tam czekają na nas nasze dzieci, nasze matki. Ale on wówczas miał dla nas stałą jedną odpowiedź:

- Wy takie polackie mordy - nie wróćcie do Polski. Po co macie tam wracać. I tak wasi mężowie tam z nami walczą.

Dzięki takim odpowiedziom dowiadywałyśmy się, że tam coś się dzieje, że jakaś walka tam jednak trwa. Ale on swoimi odpowiedziami nie robił dla nas żadnych nadziei. Co on nam nie nawymyślał - i tyle.

Kiedy na przykład szłyśmy do pracy przez wieś - to takie wyrostki, dzieciaki, a niejednokrotnie i kobiety - krzyczały do nas początkowo, że my jesteśmy Niemcy. Odpowiadaliśmy, że jesteśmy Polakami. W odpowiedzi usłyszeliśmy:

- Polacy? To wy na naszych żołnierzach brośli butylki z benzyną w Grodnie? I dalej nam wyzywali, ubliżali. Fluli na nas, obrzucali kamieniami. Gdy człowiek przeszedł przez taką wieś, to się pożądnie zdenerwował. Tym ludziom nie można było w żaden sposób tego wytłumaczyć, bo zatrzymać się nie było można. A im w to graj, że oni mogą na nas się wyżywać, i to bezkarnie.

Bywały ucieczki z obozu. Nie udawały się. Ci ludzie późnie jwracali mimo, że im się pomagało w ucieczce, kradło się dla nich prześcieradła, suszyło i gromadziło suchary, żeby mogli pójść. Kiedy ktoś uciekał - to za tydzień lub dwa wracał. Z tym jednak, że nie wszyscy wracali, a niektórzy szli od razu do karceru. Po pobycie w takim karcerze bardzo często też umierali. Trudno zresztą było oczekiwać udanych ucieczek skoro wszystkie drogi o promieniu stu osiemdziesięciu kilometrów były obsadzone przez NKWD. Wszyscy dróżnicy kolejowi i drogowi - to wszystko było NKWD. Stamtąd nie sposób było uciec.

Podobno udała się tylko jedna ucieczka człowiekowi, który wszedł do zbiornika po benzynie. W ten sposób wydostał się ze strefy strzeżonej, a następnie dostał się gdzieś na Litwę. Skoro były ucieczki, to w związku z tym robiono nam często takie sprawdzania. Rano lub wieczorem - obojętnie kiedy - kazano nam wychodzić przed blok i zaczynali nas liczyć. Jeśli było wiadomo mniej więcej, ile osób uciekło, to stosowano między innymi takie wybiegi, że podczas liczenia raz się wstępowało a raz występowało. Rezultat był taki, że oni nas niejednokrotnie liczyli po osiem i dziesięć godzin i nie mogli się nas doliczyć. Wściekali się doliczyć. A nam zależa-

ło na tym, aby zyskać na czasie.

Potem wreszcie zaczęli nas szykować chyba do tego wyjazdu. Zorganizowano apel i zaczęto nas dzielić. Jedną grupę ludzi kierowano na lewo a drugą na prawo. I to już rodzi konflikt: kto, gdzie. Bo jeżeli ci jada, to jada do Polski. A jeśli oni jada, to dlaczego nie my. Były też i takie przypadki, że po jednej stronie była żona, a po drugiej mąż. Podobnie były rozdzielane na przykład matki z córkami, jednym słowem dzielono rodziny.

Zaczęto szykować nas do podróży, bo myśmy byli goli i bosi. Ja chodziłam w skombinowanych walonkach, bo moje buty już się podarły. Pchając na przykład wózek z torfem - bywało - myśmy przy tej pracy zasypiały. Bo myśmy wstawały o godzinie trzeciej czy czwartej dlatego, żeby tam dojść - a wracałyśmy o godzinie siódmej. Nic dziwnego, że myśmy były potwornie zmęczone. Potrafiłyśmy spać w marszu. Kiedyś będąc w takim stanie zgubiłam walonek /krótszy/ i ledwie, w ostatnim momencie wyrwałam go spod kół wagonika. Musiałam się kłaskać i wyciągać go z rowu.

Po jakimś czasie zaczęto dawać nam już kufajki. Były one koloru białego, czyli bardzo niepraktyczne. Dodatkowo otrzymaliśmy czapki, ale bardzo starego kroju - z czubami /pikelhaubami/ i z nausznikami. Zaczęto nam dawać odzież - spodnie drelichowe i koszule - to wszystko było po rannych żołnierzach. Cóż te ubrania już w chwili, kiedy je nam dawano, były zawszawione. Ale człowiek musiał to na siebie nałożyć, bo przecież nie było w czym chodzić.

Ale jeszcze wcześniej - było to w lecie 1945-go roku - zobaczyłyśmy przez druty, że Sowietci prowadzą /eskortują/

ogromną ilość jakiegoś wojska. Wkrótce okazało się, że to byli jeńcy niemieccy. Była ich cała masa. Tak się złożyło, że w pobliżu naszego obozu zaczęto tych Niemców rozbierać. A Niemcy - jak to Niemcy - ubrani byli dobrze. Mieli i szuby i futra i kurteczki, a oprócz tego całą masę rzeczy toaletowych: mydła, żyletki i inne. Sowieci to wszystko im zabierali i zostawiali ich tylko w jednych kalesonach i w jednym mundurze. I więcej nic.

Z tego rozbierania powstały takie duże gromady ubrań i innych, odebranych rzeczy. Później te Sowietki się na to rzuciły i żołnierze też. Ładowano te rzeczy na samochody. Później myśmy w tym miejscu nogi sobie kaleczyli, bo tam w piasku zostało wiele żyletek, myśmy natomiast chodzili przeważnie boso. Natomiast Sowietki z tych mundurów, które zabrano Niemcom, szyły sobie kstiumy, spodnie i palta. I nasi krawcy w pracowni krawieckiej im to szyli. Sowietki jako zapłatę krawcom przynosiły wódkę.

Wśród krawców miałam kolegę, który jakby wyczuł że ja jadę wkrótce do Polski - uszył mi spodnie. Sukno ufarbowało się w korze dębowej. Z sukna uszył mi spodnie i bluzę. Do tego uszył mi czapkę i mufkę /wszystko to było koloru czarnego/. Do tego był kołnierz ze skunksa - do mojego płaszczyka, z którego został już tylko materiał.

Ponieważ ja szewcom łątałam bieliznę i cerowałam skarpetki - oni mi zrobili buty. To miała być dla mnie niespodzianka. I jak to w takich wypadkach - buty okazały się za małe o półtora numeru. Tak więc z tych butów nie miałam wiele pożytku. Koledzy więc - szewcy - w ostatniej chwili zrobili mi papucie z jakiegoś materiału. W tych właśnie papuciach wra-

całam do kraju. Natomiast buty zabrałam ze sobą i sprzedawałam je w Erześciu na chleb. Bo nasi żołnierze, którzy nas eskortowali w drodze powrotnej - sprzedali nasz cały "pajok" /przydział chleba/. Zrobili to wcześniej tak, że kilka dni przed granicą myśmy już nic nie jedli, bo nie było nic do jedzenia. Żołnierze to wszystko sprzedali, a następnie przepili.

Kiedy więc nas rozsegregowali / jeszcze w obozie / i dali kufajki, to ja dostałam od kolegów ten garnitur i wyglądałam jako tako. A wówczas było zimno, bo ja wznaczałam przecież w styczniu. A ja na nogach ~~byłam~~ miałam papucie, o których już wspominałam.

Z obozu zawieziono nas na stację w Ostaszkowie. Tu znowu zaczęto ładować nas do bydłych wagonów. A myśmy nie myślały, że w takich wagonach będziemy wracać do kraju. Wiądząc to pomyślałyśmy, że z tym powrotem do kraju to bujda i że pewnie nas powiozą gdzieś dalej, w głąb Rosji. Ogarnęła nas czarna rozpacz.

Na tym dworcu trzymano nas chyba z półtorej doby. Wreszcie pociąg ruszył. Zaczęłyśmy wyglądać przez okienka, zaczęłyśmy sobie robić dziury, skrobać w deskach czym kto miał. Stwierdziłyśmy z ulgą, że jedziemy w dobrym kierunku, bo mijamy Smoleńsk, Katyń. Już wówczas wiedziałyśmy, co oznacza słowo "Katyń". Była z nami pani, która wróciła z Kaługi do Białegostoku do znajomych wieczorem. I w kilka godzin później do mieszkania tych państwa wtargnęło NKWD z zamiarem aresztowania gospodarzy. Niejako przy okazji aresztowaną i ją i przywieziono spowrotem do Rosji, do Ostaszkowa.

Jechaliśmy bardzo długo. Było bardzo zimno, ale już nam

przynajmniej gotowali jakieś tam zupy. Trochę dostawaliśmy jeść. Kiedy przed Brześciem żołnierze eskorty sprzedali nasze jedzenie i byliśmy głodne, poprosiliśmy żołnierzy, aby nam pozwolili wyskoczyć w Brześciu. W pobliżu dworca był rynek. Chwyciłam swoje buty / za nabe/ i z koleżanką pobiegłyśmy tam. Miałyśmy też do sprzedania różne pudełka, grzebyki, które nam chłopcy zrobili w obozie, bo tam było dużo samolotów, a tym samym dużo aluminium.

Wszystko to szybko posprzedawałyśmy. Dostałyśmy za to szklankę "koreszkow" /tyton do palenia/, gazetę jedną /też do palenia/ i bochenek chleba. I z tym kupem wracamy do wagonu. Po drodze nagarnęłyśmy bańkę śniegu do picia. Ale cóż to jest bochenek chleba na tyle osób, bo przecież tego chleba nikt sam nie zje. Posiadany chleb łamałam na kawałki w wszystkim dawałam. A to na tyle osób - to jest nic. A sama nie mogłam jeść.

Przekroczyliśmy granicę i przyjechalismy do Terespolu. W Terespolu pociąg zatrzymał się, otworzyły się wagony i witają nas. Witali nas żołnierze i harcerki, jeśli dobrze pamiętam. Był to styczeń 1946-go roku. Witano nas bardzo uroczyście.

Następnie przewieziono nas do Białej Podlaskiej. Tu staliśmy bardzo długo. Wokół było bardzo dużo ludzi, bo nasz transport nie był pierwszy z tych, które powracały z Rosji. A myśmy dalej stali. Przez niewielkie okienka wagonów przechodzący ludzie zaczęli nam podawać chleb i inne pieczywo. A nas ciągle trzymali zamkniętych.

Wreszcie w pewnej chwili odsunęły się drzwi wagonu - i zaczęły witać nas władze miejskie. Był też obecny jakiś przed-

stawiciel UB. Kazano nam wysiadać z wagonów i zapowiedziano, że tu otrzymamy dokumenty. Z tego powodu powiedziano nam, że nie możemy nigdzie oddalać się lecz przebywać na punkcie zbornym. Kto jest chory - ten może pojsć do lekarza. Ale cały czas mamy czekać aż do czasu wydania nam dowodów tożsamości. Przedtem zrobią nam zdjęcia.

Zaczelismy wychodzić z wagonów. wszyscy byliśmy brudni do tego stopnia, że aż czarni. Wygladalismy strasznie. Na nasz widok ludzie płakali. Myśmy też płakały. Stojący wokół ludzie wciskali nam do rąk różne rzeczy. Były tam głównie rzeczy do jedzenia. Każdy z nas był wprawdzie głodny - ale i jednocześnie zalany łzami.

Powiedziałam wówczas do koleżanki:

- Słuchaj, my musimy się gdzieś umyć. My przecież strasznie wyglądamy.

Poszlyśmy do jednego domu. Gospodyni była bardzo serdeczna, zapraszała nas:

- Proszę, wejdźcie, dziewczynki.

- My nie możemy wejść, bo my pani dom zawszawimy. My przecież mamy tyle wszów. Proszę nam dać tylko ciepłą wodę do umycia się i jakąś szmatkę do wytarcia się. A my już umyjemy się na podwórku.

I rzeczywiście, ta pani wyniosła na podwórko gorącą wodę. Myśmy szybko się ~~wkrę~~ rozebrały i umyłyśmy się. Następnie poszlyśmy na punkt zborny. Tam leżała słoма do spania. Tam dało nam po - jak to wówczas mówiono - pół paczki amerykańskiej. W mojej "pół paczki" było: pół śledzia, chyba dwa jajka i mała puszka jakichś konserw. I to było wszystko.

Wkrótce zaczęto robić nam zdjęcia. Robiono je nam na tle

drzew, do których przybijano numery. Każdy miał nad sobą numer z listy. Siadało się na stołeczku i robiono zdjęcia: profil, en face i już - po wszystkim. Ja miałam wówczas tam zrobione przepiękne zdjęcie. Jak na ironię: nigdy w życiu nie miałam tak dobrze zrobionego zdjęcia jak tam. Wyglądałam bardzo dostojnie i przystojnie. Gdy wróciłam do domu, to mi koleżdy ten dokument z tym zdjęciem skradli. Tego nie mogłam odzyskać ani wtedy, ani dziś i nie mogłam nigdy dowiedzieć się - kto mi to zrobił.

Wszystko to trwało trzy dni. A jeszcze w drodze bardzo nam chciało się pić. Poprosiłam żołnierza, aby mi pozwolił wyjść i nabrać sniegu. wyskoczyłam z dwiema bankami, nabrałam sniegu i w tym momencie pociąg ruszył. Drzwi w wagonach były żelazne. Jeszcze nie zdążyłam wskoczyć do środka, a ktoś przedwcześnie je zamknął. W efekcie tymi drzwiami przycięto mi palce. Poczulałam niesamowity ból. Ktoś jednak się zorientował w powstałej sytuacji i drzwi szybko otwarto. Kiedy to się stało, ja już zemdlałam z tego bólu.

Oczywiście żadnych środków opatrunkowych nie było." tej sytuacji oderwałam kawałek rosyjskiej koszuli, zawinęłam skaleczone palce i tak zostało. A nas nadal trzymano w Brześciu. Bo mój wypadek z palcami był po stronie radzieckiej, jeszcze przed Brześciem. Kiedy dojechalismy do Białej Podlaskiej, to ja miałam widoczne guzy limfatyczne, a ręka wyraźnie mi spuchła. Kiedy to zobaczył któryś z "Ukowców", kazał mi iść do sanitarnego punktu. Przydzielili mi harcerki mówiąc, że one mnie tam zaprowadzą. I one rzeczywiście mnie tam zaprowadziły. Na tym punkcie był bardzo niesympatyczny lekarz, który natychmiast przystąpił do dzieła. Zaczął mnie przy tym szar-

pać. Przeciwwstawiałam się temu, bo mnie to bardzo bolało. Poprosiłam o naczynie z wodą, w którym będę mogła odmoczyć ranę, a następnie ją rozwinąć. Przecież ja niesamowicie cierpię, mnie to boli.

Zostawił mnie. Odmoczyłam ranę. Wkrótce przyszła pielęgniarka, zmieniła opatrunek i powiedziała, że powinnam z tym pójść do szpitala.

Z nami wracał doktor Matyszewski, który miał ogromne choroby. Jego bezpośrednio zawieźliśmy do szpitala. W przeciwnym razie zapewne by się wykończył, bo był wówczas bardzo chory. Ale ja na propozycję pielęgniarki odpowiedziałam, że ja jednak muszę jechać do domu.

Do jakiegoś czasu dano nam dokumenty. Mogłyśmy już jechać. Akurat jechał pociąg do Warszawy, który dotarliśmy do stolicy. Trafiliśmy na Dworzec wileński, rozbity, wokół było pełno wody. A ja byłam obuta w papucie, w których już nie było podszew, bo mi odpadły. Jeszcze nam się chciało - byliśmy głodne niesamowicie. Byłyśmy we dwie, bo trzecia nasza koleżanka, Lilka, nie wróciła z nami, została w Ostaszkowie. Ojciec Muski zmarł w obozie w Rosji / to koleżanka, z którą byłam /. Jej mama zmarła w drodze i ona została sama.

Koleżanka była w rozterce. Mówiła: nie mogę jechać do tego majątku, w którym ojciec był rządcą, bo mnie mogą znowu tam aresztować. Zastanawiała się, co ona w tej sytuacji ma ze sobą zrobić. Odpowiedziałam jej:

- Jedź ze mną. Jeżeli moi rodzice są, jeśli jest dom, to pojedziesz ze mną. Ja cię zabieram ze sobą.

Ona przystała na to. Zaczęliśmy biegać po dworcu. Pociągu w naszą stronę cały czas nie było. W owym czasie transport,

zwłaszcza kolejowy, był zdeorganizowany. Pociągi w naszym kierunku - dobrze - jeśli chodziły raz na dwa dni. Jeść nadal nam się chciało. Jakieś kobiety woziły jakieś bułki, kawę a my nie miałyśmy ani pieniędzy ani nic. Jeść chce się, co tu zrobić?

W pewnej chwili zauważyliśmy, że obok stoi elegancki pan z teczką. Podeszłam, przyjrzałam się mu i stwierdziłam, że ten pan jest z Wasilkowa. Przed wojną był harcerzem. Był dużo starszy ode mnie. Zapomniałam już, jak się on nazywał. Z trudem przełamując opory, podeszłam wreszcie do niego i powiedziałam:

- Bardzo pana przepraszam. My z koleżanką wracamy z obozu i bardzo jesteśmy głodne. Czy mógłby pan kupić nam do jedzenia kanapki?

- Proszę bardzo.

Ten pan kupił nam po szklance kawy i po kilka bułek. Wówczas poprosiłam go o papierosy. Kupił więc nam jeszcze i papierosy. Byłyśmy szczęśliwe, bo najedzone. Ten pan zaczął wypytywać nas o szczegóły. Ale wystarczyło, że popatrzył na nas żeby wiedzieć, jak tam było.

Wreszcie zapowiedziano pociąg od Białegostoku. Z tego wszystkiego, z powodu zamieszania, które nagle powstało, myśmy się z tym panem zgubiły. Ludzie gromadnie sypnęli się do zapowiedzianego pociągu, a to już był wieczór. Ja wpadłam do przedziału, który był prawie pusty, bo w kącie siedziała jakaś osoba. Powstała taka sytuacja, że ja siedziałam w kącie i trzęsłam się z zimna. Wówczas ten ktoś powiedział nagle do mnie:

- Pani jest zimno. Ja zdejmę płaszcz i panią okryję.

Jak się wkrótce okazało, był to jakiś oficer polski. Odpowi

wiedziałam, że dziękuję za płaszcz, bo jestem niesamowicie zawszona, ponieważ wracam z obozu i że ten pan może nabawić się wszów. A ten pan zupełnie nieoczekiwanie i spokojnie odpowiedział:

✓ Proszę panią, my w wojsku mamy swoje.

I dał mi swój płaszcz, którym mnie okrył. Krótce zrobiło mi się ciepło i momentalnie zasnąłam. W pewnej chwili obudzili mnie krzyk: "Białystok".

Trzeba było wysiadać. Zerwałam się w jednej chwili ze swojego miejsca, szybko oddałam wojskowemu płaszcz ze słowem "dziękuję" i wybiegłam z pociągu.

W obozie jadliśmy z blaszanek, które były po świńskiej tuszonce. Do tego celu posiadałyśmy drewniane łyżki. Natomiast z dawniejszej pelisy uszyłam sobie torbę z dwiema rączkami. W tej torbie trzymałam różne rzeczy podręczne, a wśród nich łyżkę, puszkę i inne. Kiedy biegłam z dworca, puszka w torbie skakała i brzęczała.

To było rano. Nigdy nie biegłam z dworca do Wasilkowa na przełaj /chodzi o dworzec Białystok Centralny/. Nie biegłam przez miasto, ale jakoś inaczej, tak, że wybiegłam do Wasilkowa przy wieży ciśnień. Do dziś nie wiem, jak ja biegłam. Ale wiem, że nie przez miasto, ale jakoś je ominęłam i dotarłam do wieży ciśnień.

Kiedy dotarłam do Wasilkowa zobaczyłam, że jedzie młody chłopak furą. Nic nie wiózł, jechał sam. Zobaczył mnie w momencie, kiedy wyskakiwałam na jezdnię. On mnie wcześniej znał i na mój widok zawołał "O Boże". - Niech pani siada. Ja panią podwiozę. Jak pani wygląda.

- Wracam z obozu.

Ten chłopak okrył mnie jakimś workiem i podwiózł mnie pod dom.

Zeskoczyłam z furmanki i nie wiedziałam, którądy mam wejść do domu: czy przez werandę czy przez podwórko. Zdecydowałam się wejść przez podwórko. W kuchni zastałam mamusię i ojca. Były też moje koleżanki i moi koledzy. Widocznie w jakimś sposób dowiedzieli się, że ja wracam.

Pamiętam, że w chronologicznym porządku przywitałam się ze wszystkimi. Wszyscy obecni patrzyli na mnie i stwierdzali, że brudna to rzeczywiście jestem, ale jak na pobyt w obozie - dobrze wyglądam.

Pamiętam, że na płycie stały garnki, a w nich ziemniaki. Ja, rozmawiając z obecnymi nieznacznie przysuwałam się do płyty i ręką za plecami wyciągnęłam z garnka ziemniak, wyszłam do pokoju i szybko go zjadłam. Po jakimś czasie mamusia powiedziała:

- Ja wiem, że ty głodna jesteś. Zaraz ci coś przygotuję, ale ty musisz jeść bardzo powoli.

Wkrótce ugotowała mi bardzo lekką zupę, bez tłuszczu. Chodziło o to, żebym się nie rozchorowała. Zjadłam trochę i poszłam się myć. Kiedy umyłam się, wszystkie moje ubrania, jakie mi mama podała okazały się na mnie za ciasne. Jednak przez ten czas pobytu w obozie fizycznie się rozwinęłam. Kiedy mnie wywożono - byłam szczuplutka i wątką. Teraz ze mnie zrobiło się kawał baby. Niczego nie mogłam na sobie dopiąć, wszystko było za małe.

Zaczęłam opowiadać trochę. Ponieważ jednak byłam potwornie zmęczona, więc wszyscy poszli. Następnego dnia porządnie wykapałam się. I nadal dobrze wyglądałam.

Następnego dnia, z rana, mamusia powiedziała, że pójdziemy do kościoła. Do kościoła poszliśmy rano, z rodzicami. Rano spieszyliśmy się, ja się ubierałam. Kiedy wyszliśmy z kościoła było już widno. - zaczęli podchodzić znajomi i zaczęli ze mną się witać. I wówczas mamusia spojrzała na mnie i ze zdziwieniem powiedziała:

- Słuchaj, jaka ty jesteś zmieniona. Przecież ty teraz zupełnie inaczej wyglądasz.

Okazało się, że ze mnie zaczęła schodzić opuchlizna. Dopiero teraz było widać - jak ja wyglądam. A kiedy wróciliśmy do domu, to ja byłam cała mokra. Byłam tak bardzo spocona, jak bym była po sporym wysiłku.

Był to początek choroby. Początkowo mama zaczęła zastanawiać się, czy nie jestem przeziębiona. Po paru dniach było jednak widać, że to jest coś poważniejszego niż zwykłe przeziębienie. Wówczas mamusia pojechała do Białegostoku do doktora Szajkowskiego. Mieszkał gdzieś w okolicach ulicy Bema. Był specjalistą od chorób płucnych. Bo ja w czasie tej choroby kaszlałam i plułam krwią. Zresztą już w obozie plułam krwią.

Lekarz zbadał mnie dokładnie i powiedział:

- Oj, niedobrze jest. Ma pani zajęte oba|szczyty płuc.

Następnie dał mi lekarstwa, kazał dobrze się odżywiać. Rodzice bardzo o mnie dbali. Ale w naszych stronach było bardzo niespokojnie. Drasowały liczne leśne bandy. Ciągłe słyszano się, że to tego to tamtego zastrzelono w nocy. To mnie dodatkowo wyczerpywało nerwowo.

Za którąś z kolei wizytą doktor Szajkowski powiedział:

- Byłoby bardzo dobrze, gdyby pani mogła zmienić klimat.

Tu należy dodać, że w obozie - jeszcze wcześniej - chorowałam na malarię. Ponieważ myśmy mieli kuzynów we wrocławiu z ojca strony, którzy dowiedziawszy się o moim powrocie przyjechali do Wasilkowa. Oni postanowili zabrać mnie ze sobą i tak się stało. Tam, we wrocławiu, byłam chyba ze cztery miesiące.

Muszę dodać, że nazajutrz po moim powrocie przyjechała moja koleżanka - Luśka, z którą zgubiłyśmy się na dworcu w Warszawie. Ona, podobnie jak i ja - była spuchnięta, ale była zdrowa. Kiedy wyjeżdżałam do Wrocławia, zaproponowałam jej, aby jechała ze mną. Ale ona postanowiła zostać u moich rodziców. I została z moją mamą.

Ja natomiast pojechałam do Wrocławia i tam dostałam szalonego apetytu. Wówczas potrafiłam zjadać dwa drugie dania a za godzinę - półtorej, znowu mogłam jeść to samo. Jadłam niesamowicie. Miałam tak szalony apetyt, że po trzech czy czterech miesiącach, kiedy wróciłam stamtąd - to płaszcz, w którym wyjechałam nie dopinał się na mnie na kilkanaście centymetrów. Wróciłam rozpięta, bo tak tam utyłam.

Zaczęłam się czuć znacznie lepiej. Poszłam do lekarza na kontrolę. Lekarz powiedział, że jest dobrze, ale że powinnam nadal dbać o siebie. I tak pomału jakos z tego wyszłam. Natomiast moja koleżanka tak samo utyła u mojej mamy. Zartowała ze mnie, że ja musiałam jechać do Wrocławia aby utyć, a ona osiągnęła to samo u mojej mamy. Ona nic nie robiła tylko czytała i jadła.

Łapomniłam dodać, że jeszcze wcześniej, kiedy przyjechaliliśmy do obozu do Ostaszkowa, to pierwszy pokarm, jaki nam tam dano po wyjściu z kaźni - to był kapusniak. To właśnie kapusta

miała jakiś dziwny smak. To w ogóle było wstrętne, ale człowiek musiał to jeść, bo to był pierwszy ciepły posiłek od dłuższego czasu. Ponieważ wszyscy byliśmy po długiej podróży i wszyscy bez wyjątku wygłodzeni - każdy z nas się tego najadł. Po kilku godzinach chwyciła nas biegunka. To złapało nas wszystkich bez wyjątku - cały nasz transport. Baraki były obleżone: wszędzie świeciły gołe tyki.

W tych spośród nas, którzy byli bardziej chorzy - szybko skierowano do szpitala. I w tym ciasnym pokoiku, do którego nas skierowano na samym początku - z nami była taka folksdojczka z Suwałk. Ona miała z sobą garnki smalcu. Ciągłe te garnki miała w zasięgu ręki, stale je przy sobie trzymała, żeby broń Boże z kims się nie podzielić.

Po jakimś czasie zauważyłam, że ona siedzi - jak zwykle - ze swoimi córkami na tych garnkach, ale jej oczy jakoś tak dziwnie się świecą. Pomyślałam sobie, że one jednak są chyba chore. Wzięłam jedną z nich za głowę, następnie drugą i nie miałam wątpliwości, że one mają temperaturę. Wówczas zaczęłam krzyczeć do "Cap-carapa", że tu są chore kobiety, że ktoś powinien się nimi zająć, że one powinny pójść do lekarza, do szpitala.

Wkrótce przyszedł lekarz i jeszcze ktoś z nich, chyba jakiś żołnierz. Ale tym lekarzem był Polak. Nazywaliśmy go doktor "Lajak". Ale jak było jego prawdziwe nazwisko - tego już teraz nie pamiętam. Kiedy wszedł - zapytał:

- Kto tu jest chory?

- O te, w kacie, one są chore - powiedziałam, wskazując ręką chorą matkę z córkami - one są chore.

Ale lekarz spojrzał na mnie i zapytał:

- A pani jest zdrowa?

- Tak - odpowiedziałam.

- Najpierw pani pójdzie z nami.

Wziął mnie za puls. Wkrótce okazało się, że ja mam prawie czterdzieści stopni temperatury. Pamiętam, że kiedy szłam z nimi, to po drodze trzeba było przeskakiwać rowy. Pierwszy i drugi row przeskoczyłam ale do trzeciego już wpadłam, nie trafiłam,

Wówczas rozchorowałam się porządnie na dyzenterię. Leżałam chyba z miesiąc. Proces leczenia przebiegał bardzo powoli, bo leków żadnych nie było. Ubikacje ciągle były zajęte przez chorych. Kiedy człowiek zaczynał się lepiej czuć, to się na nowo zakażał dyzenterią. Takie leczenie niesamowicie wyczerpywało. Kiedy stamtąd wyszłam, dosłownie trzymałam się ściany. Już w baraku znajomi i koledzy pomogli mi dojść do siebie. Wreszcie powoli wrocizłam do zdrowia.

Kiedy chorowałam na malarię, to sanitariuszem był kapitan marynarki, który pochodził z Gdyni. Nie wiem, jakim cudem on się tam znalazł. Nazywał się Zenon Bolewski. On szczególnie o mnie dbał. Byłam niesamowicie chuda. Podczas ataków malarii skakałam niesamowicie, a że prycze były gołe - to z tego powodu miałam pozdzieraną skórę, zwłaszcza na biodrach. W czasie ataków było mi tak zimno, że on zbierał koce z innych chorych, którzy się lepiej czuli i mnie nimi przykrywał. Mało tego - kładł się na mnie, żeby mi tak nie skakała, bo mnie dosłownie rzucało.

Kiedy atak mijał, zasypiałam tak mocno, że nic nie czułam. Chleb, który dostawałam a nie mogłam jeść z powodu choroby, chowałam pod poduszkę. Wówczas pod moją poduszkę przychodziły szczury i zżerały mój chleb. Dochodziło do tego, że te szcz

ry obgryzały chorym uszy. I to wszystko działo się w szpitalu. A gdy ktoś umierał i jego ciało zabierano do kostnicy - kostnica mieściła się w chlewie - to gdy rano przychodzili pracownicy, aby zabierać ciała do grzebania - to ci ludzie już nie mieli nosów czy oczu.

Ciała zawijano w koc, kładziono na nosze i wynoszono za obóz, niedaleko. Ponieważ to była zima i ziemia była zamrznięta - odgrzebywano tylko śnieg, kładziono ciało i przysypywano śniegiem. Kiedy wiosną szło się do pracy, to się widziało kości, które się wałowały, bo tam grasowały i wilki i różne inne zwierzęta. Tak więc tam w tej chwili nie sposób znaleźć niczyjego grobu, chociaż ci ludzie tam umarli i tam byli grzebani.

Umierało tam bardzo dużo ludzi, szczególnie ludzie starsi, mniej odporni.

Wracam do czasu po moim powrocie. Kiedy wróciłam z Wrocławia, postanowiłyśmy z koleżanką wyjechać stąd, bo tu było niespokojnie. Pojechałyśmy do Warszawy, do znajomych. Znajoma miała siostrę, która mieszkała w Nidzicy. Ta siostra prowadziła w Nidzicy restaurację. Ponieważ ta pani miała duże mieszkanie - zatrzymałyśmy się u niej. Ta pani zaproponowała nam pracę w tej restauracji. Ale myśmy się nie nadawały do tej pracy.

Kiedys poszłam z tą panią do urzędu skarbowego. Naczelnik tego urzędu - bardzo sympatyczny pan - zapytał tę panią, czy ja gdzieś pracuję. Ta pani odpowiedziała, że ja nigdzie nie pracuję, ale chciałabym gdzieś pracować. Wówczas ten pan powiedział: to proszę do nas.

Wkrótce tam się zgłosiłam i tam zaczęłam pracować. Po miesiącu bodajże....

Natomiast moja koleżanka podjęła pracę na kolei jako kancelistka przy zawiadowcy stacji.

Gdzieś po miesiącu tej pracy tam, zupełnie nieoczekiwanie przyszło ~~o~~ mnie dwóch panów:

- Pani nazywa się Krzywiec Janina? Proszę z nami.

I zabrali mnie na "UB". Okazało się, że tam też - w taki sam sposób znalazła się i koleżanka. Ją również aresztowano z kolei i obie siedzimy. Oczywiście nie wiemy za co, to stało się zupełnie nieoczekiwanie.

W czasie przesłuchań zarzucano nam to pracę w AK to znowu coś innego. Wreszcie okazało się, że chodzi o coś zupełnie innego.

Ta pani, u której się zatrzymałyśmy - prowadząc restaurację - znała całą miejscową elitę. Znała doskonale i samego starostę i szefa urzędu bezpieczeństwa. A ponieważ myśmy u niej mieszkały, to się rzeczy też znałyśmy te osoby. Na jednym z przesłuchań dowiedziałam się, że pracuję w wywiadzie angielskim. Ten sam zarzut sformułowano też przeciw koleżance. Wówczas powiedziałam:

- Panowie, zastanówcie się.

A im chodziło o to, żeby nas ściągnąć do pracy w "UB". Najdurniej o pracy na rzecz wywiadu angielskiego służyć miało zastraszenie nas. Kiedy to nie odniosło oczekiwanego skutku - podsunięto mi do podpisania deklarację współpracy z nimi, to wówczas oni mnie puszczą.

Odmówiłam jednoznacznie. Powiedziałam, że nie będę tego robić, bo nigdy w życiu tego nie robiłam, a zresztą ja tego nie umiem, nie potrafię.

Dzięki mojemu naczelnikowi, który zaczął "stukać" do "UB",

- za co jesteśmy aresztowane, przecież jesteśmy potrzebne w pracy - a wówczas ludzi brakowało do pracy - nas zwolniono mimo, że nie podpisałyśmy tej deklaracji. Puścili nas i był spokój.

Kiedy nas zwolniono, w czasie rozmowy z koleżanką dowiedziałyśmy się, że obu nam zarzucano pracę na rzecz wywiadu angielskiego. Wprawdzie śmiałyśmy się z tego, ale też i byłyśmy tym nieco przestraszone... następstwem tego zaczęłyśmy się odsuwać od życia towarzyskiego. Nasze życie koncentrowało się na linii praca - dom, praca - dom.

Tam poznałam swojego późniejszego męża. Wyszłam za mąż i jeszcze przez jakiś czas tam pracowałam. Następnie urodziłam dziecko i przyjechałam tutaj, trochę je podhodowałam i wróciłam powtórnie do Nidzicy. Tam szukałam pracy. Okazało się, że mogę dostać pracę w ZUS-ie, jeszcze gdzieś. Ale za każdym razem mówiono mi, że muszę przynieść skierowanie ze związków zawodowych stwierdzające, że oni mnie tam kierują.

Poszłam do związków zawodowych, gdzie dowiedziałam się, że to nie jest praca dla mnie i oni mnie tam nie mogą skierować. Jeżeli już coś mogą zaproponować - to tylko wydział komunikacji. I stało się, że trafiłam do wydziału komunikacji, w którym byli sami partyjni. I tam musiałam pracować. Pracowałam tam do końca.

Ponieważ - jak już mówiam - przeszłam malarię, klimat w olsztyńskim był dla mnie straszny. Ciągłe mi kręciło stawy i ja tam ciągle chorowałam. Wreszcie postanowiłam, że przeniesiemy się tutaj, do Wasilkowa, do rodziców.

Przyjechałam tutaj i pracowałam w ZBM-ie. Po urodzeniu

drugiego dziecka pracowałam w miejscowej spółdzielni, bo tu miałam bliżej, nie musiałam dojeżdżać. Była to spółdzielnia betoniarska. Później, gdy już miałam dzieci nieco odchowane - podjęłam pracę w Biurze Projektów wodnych Melioracji. Było to w Działymstoku. Tam pracowałam do końca to znaczy do odejścia na emeryturę.

Podczas pobytu w obozie kierownictwo naszego obozu, Bo wiewi oraz niektórzy Polacy doradzali zapisanie się do Związku Patriotów Polskich. Byli tam jacyś chętni, ale było ich bardzo mało. Niektorzy dali się na to nabrać dlatego, że spodziewali się dostępu do radia czy prasy. Bo w obozie myśmy nie mieli tam żadnej prasy tak jak nie wolno było nam pisać listów. Nie mieliśmy żadnych kontaktów ze światem. Nasze rodziny nie wiedziały nawet gdzie my jesteśmy. My natomiast nie wiedzieliśmy, co się dzieje w naszych domach, był zupełny brak wiadomości.

Do tego klubu patriotów polskich należało może kilka osób, w każdym razie bardzo mało. Myśmy natomiast - żeby się rozerwać, młodzież szczególnie - mieliśmy swoje towarzystwo. W tym gronie urządzaliśmy sobie wieczorki, na przykład poetyckie. Jeśli ktoś pamiętał jakieś wiersze, to je deklamował. Niektorzy koledzy mieli fantastyczną pamięć i pamiętali masę ciekawych wierszy. Organizowaliśmy różne dyskusje. Istniało nawet koło nauki języka angielskiego. Przecież coś trzeba było robić w wolnych chwilach zwłaszcza wówczas, kiedy nie pracowaliśmy. Bo gdy przychodziło lato i trzeba było iść do pracy, to człowiek już na nic nie miał siły.

W sprawie praktyk religijnych w obozie chcę powiedzieć, że był z nami ksiądz Stanisław Piotrowski, który wówczas

nie miał jeszcze święceń - był klerykiem. Był to człowiek bardzo sympatyczny. On się modlił. Ten ksiądz mieszkał obok nie w Białymsztoku.

Byli też z nami jeszcze inni księża, ale ich później wywieziono do Riazania. Modlitwa była zabroniona. Ale na którąś wielkanoc nasz komendant - nie pamiętam jego nazwiska - ponieważ tam wszystko było porobione z brzozy, bo tam dookoła rosła masa brzozy, budowano wszystko z bali brzozowych - pozwolił nam zrobić ołtarz na święta. Wykonano go w jednym z baraków z drzewa brzozowego. Na ołtarzu stały świeczniki, do których nalano tranu przyniesionego z garbarni. Wykonano też wizerunek Chrystusa i grob. Władze obozowe pozwoliły nam tam się modlić. Wyglądało to w ten sposób, że się wchodziło do środka, tam po obu stronach stały prycze. Można było krótko się pomodlić i w szeregu się wychodziło. Z tym jednak, że to trwało bardzo krótko. Już następnego dnia trzeba było to rozebrać.

Na Boże Narodzenie jako opłatek był suszony chleb przez nas. Zorientowaliśmy się po kilka osób. Ja miałam wigilię zrobić w łaźni. Tam pracowała grupa kolegów i umowiliśmy się z nimi, że tam się spotkamy i tam się podzielimy opłatkami. Taka wigilia trwała chwilę: najwyżej pół godziny. Aby tam się dostać, trzeba było przejść przez ogrodzenie, bo żeńska zona była oddzielona od męskiej drutami. Tak więc nie mieliśmy stałego kontaktu z mężczyznami. W niedzielę były spacery i można było rozmawiać. Ale na warcie przeważnie siedział taki skośnooki żołnierz. Ci skośnooki żołnierze nie umieli przeważnie mówić po rosyjsku i byli nięskiego wzrostu, wszyscy tacy byli.

Żołnierz stojący na warcie między naszymi zonami siedział zwykle wysoko, na stosie skrzynek. Kiedyś chciałam pójść do doktora Maliszewskiego, bo miałam jakiś interes do niego. Chciałam przejść do drugiej zony, ale wartownik mnie nie puszcział. Zaczęłam go prosić, długo prosiłam. Wówczas byłam w czerwonym swetrze koleżanki, bo to było zimą. A on nadal mnie nie puszcział. Ja tam mówić po rosyjsku nie umiałam. Ale rugać się po rosyjsku to ja tam nauczyłam się nadszpodziwianie szybko. Resztą tam wszyscy umieli rugać się, bo tam nie sposób żyć bez tego.

Kiedy on nie chciał mnie przepuścić, w pewnej chwili ja go rugnęłam ~~porządnie~~ ^{porządnie}, kopnęłam silnie skrzynkę, na której on stał tak silnie, że on razem ze swoją wintówką upadł w śnieg i ja w tym czasie szybko przebiegłam. Ale po jakimś czasie trzeba było wrócić spowrotem. A wcześniej mężczyźni stali przy barakach i widzieli to całe zajście. Kiedy tam przebiegłam, oni mnie ukryli na najwyższych pryzkach. Zaczęli się zastanawiać, jak ja teraz wrócę. Powiedziałam, że jakoś muszę wrócić.

Koledzy poradzili mi, że bym poszła do łaźni, wzięła dwa wiadra z ciepłą wodą. Zabrała swetr / bo był czerwony / i że bym szła z tą ciepłą wodą. Tak też zrobiłam. Kiedy przechodziłam, on zapytał mnie, czy nie widziałam dziewczyny ubranej w czerwony swetr. Odpowiedziałam, że jest tam, chodzi po tamtej zonie i za jakiś czas będzie szła. A on na to, że on jej pokaże. Tym razem mi się udało.

W chwili aresztowania przechodziłam akurat menstruację. Przez cały czas pobytu w obozie i po powrocie z obozu do roku - nie miałam okresu. Bardzo możliwe, że w posiłkach, które otrzymywałyśmy coś tam dodawano.

W czasie aresztowania i w czasie wszystkich przesłuchań zarzucano mi pracę w AK. W rzeczywistości zaprzysiężona do tej organizacji nie byłam. Nie pracowałam, ale pomagałam żołnierzom tej organizacji. Bywały i takie wypadki, że spełniałam też rolę łączniczki. Wielokrotnie wykorzystywano mnie do różnych celów organizacji, ale to były wypadki sporadyczne. Dostarczałam leki. Kiedy w czasie okupacji sprzątałam salę, w której były skrzynie z amunicją, wybierałam naboje i nosiłam w rękawach. Ale to nie upoważnia do twierdzenia, że pracowałam w AK. Nie skradłam przysięgi, nie posiadałam żadnego dokumentu. Ale niektórzy mogli mnie o przynależność do AK podejrzewać, bo miałam kontakt z tymi ludźmi. Kiedy siedziałam w piwnicy na stacji kolejowej w Wasilkowie, to otrzymywałam wiadomości o tyż, co się dzieje w domu. Przynoszono mi papierosy, a nawet dopomóżono mi w wydostaniu się na wolność.

Ludzie, z którymi miałam wówczas styczność z tego powodu już nie żyją. Był to pewien pan, który w czasie okupacji niemieckiej pracował jako sekretarz u amstkomisarza. Nazywał się Czejłydko. Był to człowiek bardzo oddany organizacji. Zaraz po wojnie wyjechał do Warszawy. Kiedy wróciłam z obozu, przyjechał specjalnie do Wasilkowa, aby mnie odwiedzić. Nawet proponował mi pomoc finansową, ale to nie było konieczne. Jeszcze kilkakrotnie spotykałam się z nim. Był to człowiek starszy, sterany życiem. Zmarł po jakimś czasie, jego żona też. Dzieci nie mieli. Tak więc nie mogę powiedzieć, że należałam do AK.

Zbierałam też składki na zakup broni. Moja współpraca z AK miała zdecydowanie doraźny charakter. Udzielałam się od

czasu do czasu, jeśli ktoś poprosił mnie o coś w zaufaniu.

Moja mamusia pracowała w żandarmerii. I też bywały wypadki, że kogoś aresztowali, kto pracował w AK. Kiedyś akurat był taki wypadek, że aresztowano młodego chłopaka, który miał świeżo wypisany dokument, że jest po kursie strzeleckim i że został z tego powodu mianowanym na jakieś stanowisko w AK. Był on akurat na żandarmerii, kiedy tam była moja mamusia. Mama wzięła to od niego i momentalnie zjadła, bo tego typu dokumenty były wystawiane na przebitce.

Wiele było takich wypadków, że mamusia też pomagała Fiosenka, którą ułożono w obozie w Ostaszkowie, miała chyba wielu autorów. Ale była bardzo w obozie popularna i często spiewana. Zatytułowana była "Fajka."

Gdy zbudzi cię pobudka
Myśl twoja szybko mknie
do naszej chleborezki
gdzie chleb rozdziela się

Gdy weźmiesz pajkę swą
w dwóch dłoniach trzymasz ją
jesz i wpatrujesz się
jak pajka zmniejsza się.

A gdy wykończysz ją
nie możesz smutku skryć
jak to bez pajki
ciężko żyć.

Cały dzień chodzisz głodny
i głodny idziesz spać
nie wiesz co tu wymienić
co za tę pajkę dać.

Śni ci się wielka frajda
że jadaś pajek sześć
budzisz się - a to bajka
znów głodny, chce się jeść.

Jak droga jest ta pajka
To każdy o tym wie
waluta ostaszkowska,
którą obraca się.

Za pajkę możesz kupić
co tylko kupić chcesz
machorkę, kałesony
i parę butów też.

Kochana chleborezko
weź uczyn jakiś cud
wydaj nam więcej chleba,
nakarm zgłodniały lud.

sześćset gramowa pajka
za mało żeby żyć

za dużo żeby skonać,
jak długo ma tak być?

Notował: S. Sianko.